ŚWIATŁO

Rok VI. Bytom G.-Sz., 15. Października 1892. Nr. 20.

„ŚWIATŁO“ wychodzi dwa razy na miesiąc, co 1-go i 15-go każdego miesiąca. — Przedpłata kwartalna wynosi **1 markę** = 75 cent. Zeszyt pojedyńczy kosztuje 18 fen. = 13 centów. — Abonować można na każdej poczcie, (Zeitungs-Preisliste Nr. 81) w każdej księgarni, u agentów i z Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu na Górnym Szlązku (Beuthen O.-S.) — **Ogłoszenia** przyjmują się za opłatą 20 fen. od **3**-łamowego wiersza drobnym drukiem.

PIOTR WŁAST,

PALATYN WROCŁAWSKI.

(Ciąg dalszy.)

Tymczasem namiot coprędzej podnoszono i umocowywano, słudzy nawet ślady kół wozu arcybiskupiego zamiatali, aby zatrzeć znaki i pamięć wypadku, który dwór, żołnierzy i wszystkich przejął straszną trwogą.

Około książąt kręcący się Niemcy pokrywali śmiechem wewnętrzny niepokój, powtarzali za księżną odgrażanie się Rzymem i udawali, że lekce to sobie ważą. W wojsku przybycie biskupów, uroczyste ich wystąpienie w obronie młodych książąt obudziło obawę o własne bezpieczeństwo. Wiedziano, co klątwa znaczy.

Na wieczór przybywający dowódzcy twarze przynosili posępne, Dobek postrzegł, że wojsku odwaga i ochota od boju odpadła. Rozpowiadano sobie w obozie, jak na jedno skinienie ręki starego arcybiskupa sam z siebie, nie tknięty namiot runął na głowę książęcia. Tłumaczono to jako znak i przepowiednię zguby.

Wieczorem, gdy się wieści coraz bardziej trwożące szerzyły, Dobek, nie wiedząc czem w wojsku męztwo odżywić, kazał beczki powytaczać, aby się ludzie napojem raczyli, jako chcieli.

Mimo to milczenie znaczące, cichemi przerywane szeptami panowało w dolinie nad Cybiną i Główną.

Cicha noc letnia pokryła ją swym płaszczem gwiaździstym.

Do powiększenia obawy wzbudzonej klątwą, przyczyniało się i to, że na tyłach od rana pułki jakieś pokazywać się zaczynały, które poza obozem na noclegi legły, postawiwszy straże na przodzie.

Dwa wojska dzielił niewielki rozdół tylko, którym ciekł na pół wyschły strumień, gdzieniegdzie się jeszcze sączący. Tu z obu stron ciągnęli żołnierze, przypatrując się sobie, wyzywając, zaczepiając i łając, odgrażając i przedrwiewając.

Poznawano w sobie przeciwników. Z tamtej strony ludzi pana Władysławowych nazywano poganami; z tej wywdzięczano się, łając przybyłych jako kleszych ciurów.

Tu i owdzie począwszy od łajania, przechodzono potem do rozmów spokoj-

niejszych do rozpytywania i utyskiwania. Śmielsi niektórzy z za strumienia podchodzili namawiając Władysławowych, aby do nich zawrócili, rzuciwszy spółkę z wyklętym; lękając się gniewu Bożego i pomsty. Gdy noc czarna nastała, kupki z obu stron nad Głowną stojące, połączyły się, biegano i ciemność pokryła wszystko. Do żadnych zaczepek i starcia nie przyszło.

Nazajutrz rano rozpocząć się miał napad na zamek.

Nie spieszono z tem bardzo, nie chcąc nadaremnie tracić ludzi, gdy i tak poddanie się grodu było nieuchronnem. Ten i ów podsuwał się pod mury i wały, śmielsze kupki ochotników rzucały się samopas, spinały pod ostrokoły, wtem nagle spadała belka, toczyły się kamienie, zębate koła, i garść wystraszona, zostawiwszy kilka ofiar w miejscu, cofała się z przekleństwem.

Lada chwila oczekiwano poddania się zamku.

— Ufają w siły swojego arcybiskupa — powtarzała Agnieszka mężowi — gdy się przekonają, że na jego klątwę nie zważamy, będą prosić o łaskę.

Czekano więc cierpliwie.

Około południa wszystko w obozie szło na spoczynek. Książę Władysław pod namiotem, którego ściany podniesiono dla upału, aby wiatr przewiewał, siadł razem z księżną i kniaziem Wsewołodem za stół. Ztąd jak na dłoni widać było gród obleżony, wieżę za kościołem Ś. Mikołaja i ciągle na nią wystepujących ludzi, którzy się ztamtąd obozowi przypatrywali.

Przy kotłach i kadziach zasiadło wojsko nieco rozweselone, posilać się i spoczywać. Upał był srogi. Sam on już ludzi nękał, choć się walką nie zmęczyli.

Z obozu w grodzie, z grodu w obozie ludzi i twarze niemal rozpoznać było można. Niekiedy ku murom śmielszy ktoś się podkradłszy wypuszczał strzałę i śmiech z siebie czynił, gdy ta w powietrze świsnąwszy spadała napróżno, a natomiast z za parkanu bełt raził śmiałka, który z guzem lub raną uciekał.

W wielkich misach i na szerokich deskach liśćmi podesłanych, noszono na stół książęcy naprzód polewki, potem mięsiwa pieczone, których było dostatek, potem kasze różnie przyprawne. Podczaszowie nalewali w złote kubki, a dokoła psy książęce siedząc, stojąc, skomląc na rzucane im kości czekały.

Książę Władysław patrzał ogryzając kość sarnią ku grodowi, gdy kniaź Wsewołod siedzący przy nim, ręką mu wskazał na wieżę za kościołem Ś. Mikołaja.

Na wieży tej ciągle widać było kręcących się ludzi, których głowy oknami wyglądały, ale ich tam żaden pocisk nie mógł dosięgnąć. W chwili tej właśnie kilku ludzi stanęło na murze u samego wieży wierzchołka i podnieśli do góry ogromną tarczę czerwoną, jakby świeżo we krwi zbroczoną.

Znak to był jakiś. Kniaź Wsewołod potrącił Władysława, ukazał mu godło krwawe i zapytał:

— Co to jest?

Władysław popatrzał chłodno i głową strząsnął.

— Co ma być? Widzą, że nie żarty, dają nam znak, że się chcą poddawać.

Wtem tarcza znikła za murem. Oczy wszystkich na wieżę były zwrócone.

Zwolna tarcza czerwona poczęła się raz drugi podnosić ku górze i zawisła w powietrzu długo.

Kniaź Wsewołod zapytał znowu:

— Patrzajcie no, bracie miły, tarcza się wychyla raz wtóry?

— Proszą o łaskę i rękawicę — odparł uśmiechając się książę — ale rękawicy dać nie mogę.

Nastało milczenie, kazano kubki nalewać nowe; księżnej oczy połyskiwały radością dziką.

— Juści nie może to być znak inny tylko że się poddać pragną, — wołała rękami bijąc i spoglądając na męża. — A cóż? a co? nie zdało się męztwo nasze, nie miałam słuszności, gdym żądała, aby trwać przy swem i nie dawać się zastraszyć? A co? a co?

Gdy cześnicy nowe kubki nalali, kniaź Wsewołod, który z oka wieży nie spuszczał, trącił księcia Władysława.

— Patrzajno, bracie, tarcz spuścili.

— Toć znaczy pokorę — rzekł Władysław — i łby ugną do ziemi tak samo.

Znikło całkiem krwawe znamię.

W obozie zaczynano też sobie wieżę pokazywać palcami a szydzić z oblężonych. Już się radowano łatwym łupem.

— A szczeniaki przeklęte! a! przyszła na was godzina — wołali Niemcy otaczając namiot, którzy wywabieni tarczą powybiegali i na głos się śmiali.

Wtem tarcza krwawa dźwignęła się po raz trzeci, ale teraz, jakby ją jakaś siła potężna uniosła, nad mur, wysoko wzbiła się w powietrze, zawisła długo, a potem jak piorun na dół runęła.

Kniaź Wsewołod pokazał ją Władysławowi, niedowierzając znaczeniu tego godła. Książę Władysław śmiał się.

— Jawna rzecz, o łaskę proszą!

— Nie bądźże nadto surowym dla nich — odpowiedział Wsewołod — gdy ci Bóg dał bezkrwawe zwycięztwo.... Pokaż się im bratem, przyjmij ich pokorę.

Agnieszka nie dała odpowiedzieć mężowi.

— Los ich postanowiony! Ten się już zmienić nie może.

Książę potwierdził głową i dodał dumnie:

— Nie proście już darmo za niemi, zdrajcy są i zdrady nie zaniechają, dopóki żywi.

Domawiał tych wyrazów, gdy ogromny wrzask powstał w obozie, widać było nagle od kotłów zrywających się ludzi, bieżących ku koniom i broni.

Pierwsza wrzawa powstała od strony grodu, zkąd już biegł komornik książęcy wołając, że z zamku wypadła garść zbrojnych ludzi i na obóz uderzyła.

Władysław dopijał kubka, gdy kniaź Wsewołod baczniejszy zerwał się z siedzenia prędko i do swojego namiotu pobiegł co żywiej, zbroję i hełm przywdziać. Wołał za nim książę, aby pił jeszcze pospołu, ale go słuchać nie chciał.

Wtem i na tyłach obozu rozruch się stał także. I tam ludzie napadnięci u kotłów i kadzi bezbronni, porzuciwszy napój i jadło, lecieli do szałasów po pałki, siekiery i tarcze, które do kupy poustawiane były.

Na wieży św. Mikołaja wiała teraz ogromna chorągiew szkarłatna, pysznie jakoś i zwycięzko ponad gród i dolinę.

W całym obozie już ruszało się co żyło; Dobek napół uzbrojony wpadł do namiotu.

— Zdrajcy! — zawołał — z dwóch stron napadli nas razem! Z grodu wyskoczyli jedni, wypatrzywszy, że nasi nie w pogotowiu, zgnietli ich, na tyłach walka, cisną naszych...

Wstał książę i jeszcze nie zatrwożył się, gdy i Agnieszka przypadła ręce łamiąc. Dopiero teraz przyszedł jej na pamięć ten namiot, co runął na ich głowy, przeczucie złowrogie ogarnęła ją nagle.

— Koni! koni! — poczęła wołać głosem przelękłym — dwór do pana! Kto żyw, do nas!

Teraz już i książę się poruszył.

— Zbroi — zawołał do komorników — kaftan mi tu dać! Hełm! miecz! Nie może to być, aby ta garść śmiała i mogła na nas się porwać!

Kniaź Wsewołod w tej chwili już zbrojny na koniu, z drużyną swoją ruszał tam, gdzie walka się rozpoczęła, mijając namiot, oszczepem ukazał na bijących się, a z twarzy mu widać było, że niezbyt ufał zwycięztwu.

Pod namiotem książęcym, na dany znak przez Agnieszkę, której słuchać więcej niż pana ludzie byli przywykli, wszystko się ruszało z pośpiechem wielkim, trwoga ogarniała, bo krzyki i szczęk walki aż tu dochodził.

Zewsząd rozlegało się wołanie rozpaczliwe: »koni! koni!«

Księżna to ręce łamała, to zakrywała oczy, to krzyczała na głos tupiąc nogami z gniewu.

Na tyłach obozu z małego szumu stał się też wkrótce zamęt i wrzask wielki.

I tam latali ludzie potraciwszy głowy, chwytając ladajaki oręż, który im wpadł pod rękę, drudzy koły powyrywali z szałasów, do broni się nie docisnąwszy.

Dwór z pośpiechem już zwijał namioty książęce, rzucano na wozy na-

czynia, suknie, oręże, co kto pochwycił. Konie wystraszone wrzawą rwały się woźnicom z rąk, że je ledwie piesi pachołkowie, za łby chwytając utrzymać mogli.

W obozie kurzawa powstała jak chmura płowa, która widzieć nie dozwalając, co się za nią działo, przestrach jeszcze pomnażała.

Książę Władysław siadł na koń, księżnę wsadzono na wóz, i nie na pole walki spieszyli, ale wydobyć się z niej chcieli, bo ich zewsząd ogarniała. Z obu stron nadbiegali ludzie popłoszeni, których bezmówne, blade twarze donosiły już, z której strony było zwycięztwo.

Dobek, który przy księciu stał, nie wiedział sam kędy zawrócić, bo z tyłu sunęła się wielka ława ludu i gniotła a rozpraszała Władysławowych, którzy w bezładzie uciekali tarcze rzucając, broń gubiąc, padając pod konie i waląc się jedni na drugich.

Gdy kniaź Wsewołod, cofając się już od grodu, odepchnięty od niego z innemi, dobił się do tego miejsca, kędy przed chwilą stał namiot książęcy, znalazł tu tylko poobalane koły, kupy słomy i siana, ogniska wygasające i powywracane ławy, które naprędce sklecono. Księcia i księżnej śladu już nie było, a na pytanie kędy uszli, wskazano mu drożynę, którą uciekający ludzie biegli ku lasom.

Z wieży kościoła św. Mikołaja, jak na modlitwę uroczystą we święto odzywał się dzwon, w którego głosie wczorajsza klątwa arcybiskupa jeszcze się odzywać zdawała.

Walka trwała ciągle, jeżeli nią mordowanie bezbronnych prawie nazwać było można. Władysławowi ludzie uchodzili i tylko naciśnięci przez rycerzy książęcych rozpaczliwie się bronili.

Z przeciwnej strony zajadłość była straszliwa.

Z dwóch boków pochwycone wojsko księcia Władysława, choć liczniejsze, na miazgę starte zostało. Ludzie się nie spodziewali napadu, a opiłych postrach bezumny. Kupami leżały trupy, konie jak oszalałe rżąc i wierzgając miotały się na pobojowisku. Z zamku wybiegła garść wybranych, która bój rozpoczęła, coraz teraz rosła, wychodzili z murów wszyscy, wrota zostawując otworem, bo się już obawiać nie było kogo. Na wałach widać tylko było niewiasty w bieli podnoszące ręce do góry, i mnichów w czerni błogosławiących krzyżami walczącym.

Wieczór spuszczał się powoli na krwawe brzegi Cybiny i Głównej, bój był już tak jak skończony.

Odzierano trupy, wiązano pochwytanych, okrzyki dzikiego upojenia zwycięztwem unosiły się nad pobojowiskiem, a dzwon od św. Mikołaja brzmiał teraz jakby Bogu na chwałę za tryumf uciśnionych.

Wśród zajadłej walki nikt nie pomyślał o pogoni za księciem Władysławem i Agnieszką, którzy z małą garścią dworu i straży swej zdołali dopaść do lasów i niemi ujść przed nieprzyjacielem.

W milczeniu ponurem zwlekli się wszyscy. Na wozie Agnieszka głowę na rękach sparłszy płakała, ale łzy jej gniewu i żółci były pełne. Niekiedy pięśćmi uderzała po kolanach, i z piersi jej dobywał się głos stłumiony:

— Nigdy!

Władysław, z głową na piersi zwisłą, jechał niemy.

— Zwyciężyli nas u Pilicy — wołała niewiasta, — rozproszyli i tu, ale wojna nieskończona jeszcze! Cesarz mój brat w pomoc przyjść musi! jego rycerstwa nie pokonają tak łatwo jak tej gawiedzi. O! nigdy! Do Krakowa! na gród. Zamkniemy się tam, nie będą śmieli przystąpić. Tam jesteśmy bezpieczni, aż cesarscy nadciągną.

Dobek z tyłu się wlókł nie słysząc nic, nie wiedząc, co się z nim działo. Czasem go rozbudzał głos pani, to znów wpadał w osłupienie. Klątwa arcybiskupa leciała za niemi.

Wieczór i noc ciszę przeniosły z sobą na polu krwią oblanem. W tumie rozlegały się pieśni, na wałach brzmiało wesele, walka była wywalczona, Władysław uszedł.



Na wygnanie — w r. 1875! (Obacz wiersz na str. 310).

Późną już nocą wszyscy książęta zeszli się do dolnej izby zamkowej. Dwu z nich było w walce i z niej wracało, Bolko i Mieszek, dwu młodszych patrzali na nią z wieży i drżeli jeszcze grozą tego widoku przejęci.

Z zawiązaną głową w pośrodku nich stał Palatyn Petrek, szepcząc modlitwę dziękczynną.

— Dałeś mi panie dożyć tej chwili sprawiedliwości twej, odpuść mnie teraz w pokoju. Amen.

I uściskał stojącego obok Światosława.

Radość wielka była na zamku, ale obawy resztka mięszała się z nią jeszcze. Wtem z pola walki wracający dopiero, we zbroi cały, wszedł, hełm zdejmując Wszebór palatyn, wołając od samego progu.

— Przy nas zwycięztwo! Radujcie się miłościwi panowie nasi. Niewiele uszło! Rozbite ich pułki i rozproszone, ścigają nasi po lasach. Cybina i Główna potokami krwawemi do Warty płyną. Chwała Bogu na wysokościach, który nam dał zwycięztwo. Bądźcie pozdrowione sieroty pana mojego, którym powrócone jest dziedzictwo ojca waszego!

Petrek ręce podnosił do góry.

— Nie koniec to, początek tylko — wołał — ale mocen Bóg i ten kto Bogu ufa!

(Dokończenie nastąpi.)

Do Sióstr wydalonych z kraju.

(1875).

Żegnam was, czcigodne siostry,
Które ukaz groźno-ostry
Wyrzucił za własny próg!
Dokąd pójdziem? Nie pytajcie;
O jutro się nie lękajcie,
Wszak o tem pamięta Bóg.

Idźcie; — bo wasza ojczyzna
Polska gościnna i żyzna,
W której płynie mleko, miód,
Nie ma miejsca już i chleba
Dla swych dzieci, bo nim trzeba
Cudzoziemców karmić głód.

Idźcie śmiało; — bowiem wszędzie
Kto uczciwy, rad wam będzie,
Chętnie wam otworzy dom,
Z wami chlebem się podzieli,
A na waszych gnębicieli
Rzuci zasłużony srom.

Gdzie zaś nasze tu kaleki,
Wdowy rady i opieki
Pójdą sobie szukać, gdzie?
Ci, co śpią pod gołem niebem,
Żyjąc uproszonym chlebem,
Mają złożyć głowę swe?

Komu nasze biedne matki,
Mają teraz drobne dziatki,
Pod opiekę pewną dać?
Kto ma karmić nam sieroty,
Uczyć pacierza i cnoty,
Kto ma odtąd o nie dbać?

W waszych celkach, gdzie od rana
Do wieczora brzmiała Pana
Chwała i pobożna pieśń,
Smutne zasiędzie milczenie,
Strzedz ich będzie opuszczenie,
Zdobić będzie pył i pleśń...

Idźcie, — a niech Bóg was wiedzie
I pociesza w wszelkiej biedzie,
Przychylnym uczyni świat:
Wszystko ach, wam dadzą w świecie,
Ale nigdzie nie znajdziecie
Polskich serc i polskich chat!

A choć morza i pustynie
Nas rozłączą, nie wyginie
Nigdy wasza pamięć tu:
Bo momento przy ofierze
Każdodziennej i pacierze
Ją odświeżą w każdym dniu.

Żegnam was więc, godne siostry,
Które ukaz groźno-ostry
Wyrzucił za własny próg!
O nas zawsze pamiętajcie,
Na wrogów się nie gniewajcie,
Bo mściciełem waszym Bóg!

Czesław Lubiński.

ŻYDZI W POLSCE.

Kiedy inne narody nie mogły wytrzymać ze żydami i musieli ich wypędzić, jak dziś robią Moskale, to Polacy na swoje nieszczęście z dobroduszności przyjęli takowych, a żydzi są do dziś plagą narodu polskiego i niszczą go materyalnie i moralnie.

Uczony polski Moraczewski podaje o żydach w Polsce takie wiadomości.

Z cudzoziemców osiadłych w Polsce na uwagę zasługują Żydzi. Można powiedzieć, że lubo wszędzie ich prześladowały prawa, przecież polskie prawie ich pieściły. Żyda uważano zrazu za człowieka królewskiego należącego niejako do dworu albo raczej za ajenta skarbu królewskiego. Z tej to przyczyny Żydzi w najwyższej instancyi należeli do sądu wojewody, który w czasach początkowych nie był urzędnikiem krajowym ale najwyższym dworskim, lubo zarazem i wojennym i z tej przyczyny mieszkali przy miastach tylko królewskich, aż nareszcie powciskali się i do posiadłości szlacheckich. Samo tylko duchowieństwo jako niewiernym odmawiało przyjęcia na zamieszkanie. W miastach samych nie pozwalali im się zasiedlać mieszczanie. Była też uchwała synodu prowincyonalnego a lubo dopiero pod XV wiekiem zapisana, przecież widocznie dawniejsza, bo obejmuje oświadczenie, że ziemia polska niedawny szczep w chrześciaństwie, łatwo złe rzeczy od Żydów przejmować może, a dla tego Żydzi w oddzielonych ulicach murem lub rowem odcięci mieszkać mają, chrześcianin zaś, co posiada dom między nimi, wyprzedać się winien. Tym sposobem za murami i rzeczkami przy miastach starych powstały nowe miasta i to żydowskie. O mur albo rów nie chodziło bardzo i częstokroć mieszczanie wyznaczyli Żydom jaki kąt przed murami. Prawo żydowskie czyli przywilej mieli otrzymać od Bolesława pobożnego r. 1264 i podówczas księcia kaliskiego, lecz tyle tylko pewna, że im je jako od niego wydane potwierdził Kazimirz w roku 1334. Ale mniejsza o to, czy je pierwotnie od Bolesława czy od Kazimirza mieli przyznane, tyle jest rzeczą pewną, że go używali w zupełności już w Czechach, na Morawach, na Szląsku, w Miśnii i Turyngii. Wnieśli je więc do Polski i zapewne o wiele później po swojem w niej zamieszkaniu. Według tego prawa żydowską władzą sądową byli tylko szkólni (rabini) i jak już wspomniano, wojewoda lub jego komornik a w końcu sam król. Szczególnie byli zawarowani od sądów duchowieństwa chrześciańskiego. Wyznaniu żydowskiemu ubezpieczało to prawo, jeżeli nie uszanowanie to dostateczną opiekę: kto na żydowską szkołę (bożnicę) ciskał, ten za winę dawał wojewodzie dwa kamienie pieprzu. Za zniewagę okopisk (cmentarzy żydowskich) i grobów żydowskich, zabieranie z nich kamieni, był chrześcianin zagrożony utratą całego majątku na rzecz skarbu królewskiego. Od wiezionego trupa żydowskiego zakazano żądać opłaty a celnik, coby się tego dopuścił, miał odpowiadać jako złodziej i łupiezca. Chrześcianin sądownie przekonany o zabójstwo Żyda, mógł przez Żyda skarżącego być zabitym; było to na ów czas ogromne pieszczenie się z Żydami; wszakże za głowę nawet szlachcica i księdza nie spadła wtedy głowa, ale krewni obowiązani byli przestawać na głowczyznie. Jeżeli zabójca Żyda uciekł za granicę, połowa dobra jego przypadała krewnym zabitego a połowa królowi. Przyprawianie Żyda o kalectwo pociągało tenże sam podział majątku między okaleczonego i króla. Żyd poraniony dostawał w nawiąsce (nagrodzie) dziesięć grzywien a prócz tego szła wina (kara pieniężna) na korzyść wojewody i króla. Za policzek według liczby palcy, którą był wycięty, dostawał Żyd po pięć grzywien za każdy palec, sumę na ów czas ogromną. Mówiło to prawo, że posądzanie Żydów o krew z dzieci chrześciańskich jest niedorzecznością, gdyż

ich religia bynajmniej niekrwawa; ktoby jednakże sądownie tę zbrodnię Żydowi zarzucał, ten może ją udowodnić jedynie przysięgą trzech chrześcian i trzech Żydów, a jeżeli nie udowodni, podpada karze, którąby była wyznaczona na Żyda, gdyby się był okazał winnym. Żyd ma być przypuszczany do wszelkiego kupna i wolno mu się dotykać chleba na sprzedaż wystawionego. Do miejskiej łaźni równe ma prawo jak chrześcianin i niewolno domagać się od niego wyższej zapłaty. Świadectwo chrześcianina przeciw Żydowi wtedy tylko ważne, jeżeli z chrześcianinem i Żyd przysięga.

Przywilej ten mający pochodzić od Bolesława pobożnego zajmuje się najobszerniej pożyczką na zastaw a za procentem, czyli lichwą, jak nazywano. Lichwy bowiem nie godziło się brać chrześcianowi a dla tego bogaciła Żydów. Żyd gdy przysięże, że nie wziął zastawu od chrześcianina, albo że mu wyliczył więcej pieniędzy na zastaw, ma zupełną wiarę. Gdy zaś Żyd utrzymuje, że chrześcianinowi fantu pożyczył, wtedy może się chrześcianin wyprzysiądz. Żyd prócz rzeczy skradzionych i kościelnych może wszystko przyjmować na zastaw, konia jednakże tylko we dnie. Choćby przyjął rzecz skradzioną, skoro przysięże, że nie wiedział, wtedy może jej nie oddawać właścicielowi, dopokąd nie odbierze danej na nią pożyczki. Kto Żydowi gwałtem fant odbierze, winien złupienia czyli rabunku. Szkodę na fancie przez ogień lub z innej przygody bez przyczynienia się Żyda zrządzoną ponosi właściciel fantu. Nie masz wątpliwości, że Żydzi brali od szlachty w zastaw i wsie, a przez to stawali się ich dziedzicami. Żyd Leszko za Kazimirza wielkiego był żupnikiem kopalni wielickiej. Jak w kopalniach tak przy mennicach i po cłach bywali Żydzi, niby dzierżawcami i niby urzędnikami a najpospoliciej zastawnikami. Handlem jeszcze się nie wiele trudnili a rzemiosła tylko na potrzebę spółbraci prowadzili, gdyż cechy rzemieślnicze stały im na zawadzie do przystawiania chrześcianom swej roboty.

Zarazek choleryczny.*)

W roku 1883 odkrył dr. Robert Koch (ob. obrazek niżej podany) podczas cholery grasującej w Egipcie w wydzielinach stolcowych cholerycznych, jako też we wnętrznościach trupów na cholerę zmarłych, grzybek maleńki, dostrzegalny tylko przy silnem powiększeniu. Grzybek ten odosobnił od innych przymieszek, hodował i przekonał się przez liczne doświadczenia, że on **właśnie jest przyczyną cholery.** Nazwał go **lasecznikiem przecinkowym,** ponieważ ma wielkie podobieństwo do znaku pisarskiego »przecinka«, jak objaśnia rysunek na stronie 313.



Dr. Robert Koch.

Pod mikroskopem (szkłem powiększającem) zawieszony w kropelce wody okazuje bardzo żwawe ruchy, jakie wykonuje przy pomocy zaledwie dostrzegalnego ogonka. Często łączy się kilka lub kilkanaście laseczników w różne kręty zwoje.

*) Powyższy opis wyjęliśmy z książeczki p. t.: Co to jest cholera i jak ją należy zwalczać? przez dr. Kapuścińskiego, którą polecamy Szan. Czytelnikom. Książeczka ta zawiera przepisy, jak się podczas cholery zachować i jakich środków na tę chorobę używać.

Żywotność lasecznika zależną jest od płynów, w których jest zamieszczony, a które winny posiadać nie tylko pożywne dla rozwoju części, ale i odpowiednią ciepłotę. Najlepiej hoduje się przy 30—40° Celzyusza, lecz nie marnieje nawet przy 10° C., tylko się chwilowo nie rozwija. Mróz go zatem nie zabija, a gdy nastanie odwilż i ciepłe promienia słońca go ogrzeją, znowu rozrasta się, byle miał swe pożywienie.

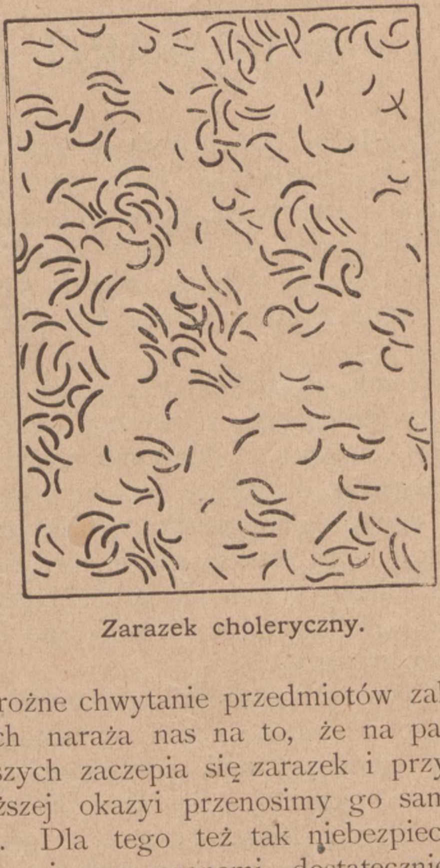
W wilgotnych odchodach cholerycznych, na bieliźnie rozmnaża się swobodnie. W naczyniach zawierających kał cholerycznych rozpościera się jak najwygodniej, lecz tylko tak długo, dopóki się nie wytworzą bakterye jego rozwojowi przeciwne, które go niszczą w 4 do 28 dniach.

Lasecznik przecinkowy znajdowano na różnych pokarmach, w których się rozmnaża przy odpowiednich atmosferycznych warunkach i tak: w bulionie, w mleku słodkiem, na mięsie świeżem, na surowej i gotowanej kartofli, gotowanych jajach, na kapuście, marchwi, na łupinach od jabłek i gruszek, na wilgotnym chlebie, na serze, świeżych jarzynach, na surowych owocach, w wodzie ocukrzonej, czekoladzie, kawie, w maśle, gdzie żyje 7 do 32 dni, na szynce i wędlinach, ale tu marnieje już po sześciu godzinach. W płynach alkalicznych rozwija się dogodnie.

Natomiast ginie we wrzącej wodzie i parze lub wysuszony na powietrzu. Również marnieje w płynach kwaśnych i lekach przeciwgnilnych jak: sublimat, kwas karbolowy, kreolina, lysol, siarczan miedzi, kwas salicylowy, kamfora, alkohol, ałun, tanina, kwas borowy, cytrynowy, olej miętowy, tymol, eter i t. d. Kwas solny go niszczy, co jest bardzo ważną rzeczą, bo żołądek nasz w akcie trawienia wytwarza właśnie kwas solny. W dobrem piwie i winie ginie w przeciągu 30 minut. Dalej niszcząco działa na zarazek choleryczny wapno palone, olejek gorczyczny, terpentynowy, goździkowy i bergamotowy. Ginie także w barszczu, mleku kwaśnem, kiszonej kapuście, w wodzie od kiszonych ogórków i jak już wspomniano we wszelkich kwasach.

Lasecznik przecinkowy nie jest zatem grzybkiem, któregoby się zniszczyć nie dało, ale będąc dla oka nieuzbrojonego w powiększające szkła niewidzialnym, silny nam może stawić opór. Jedynie zatem zachowaniem tych środków ostrożności, jakie nam podaje nauka, możliwem będzie odcięcie cholerze przystępu do organizmu naszego.

Lasecznik przecinkowy dostaje się do wnętrza organizmu naszego jedynie przez usta. Nie-



Zarazek choleryczny.

ostrożne chwytanie przedmiotów zakażonych naraża nas na to, że na palcach naszych zaczepia się zarazek i przy najbliższej okazyi przenosimy go sami do ust. Dla tego też tak niebezpiecznem jest nieoczyszczonemi dostatecznie rękoma gładzenie twarzy, wąsów, brody, dotykanie palcami ust, palenie cygar i papierosów. Również pocałunek jest zdradliwy, zwłaszcza osób chorych, bo i w jamie ustnej, a nawet w pocie cholerycznych, jak najnowsze wykazały badania, zarazek znaleść się może.

Woda, ten nieodzowny napój, może być często przyczyną rozszerzania cholery. Znajdowano laseczniki przecinkowe

w studniach, przeważnie nie głębokich, gdy w bliskości tychże były kałuże, w które zlewano odchody cholerycznych. Przez rozwilżone pokłady dostają się lasecżniki do źródlisk i zatruwają studnie. W stawach, gdzie bieliznę cholerycznych piorą, roją się laseczniki, jak to Koch wykazał. Dla tego też nie wolno pić wody bez poprzedniego przegotowania, bo jakże małą jest pewność, iż woda, którą czerpiemy ze źródeł lub pijemy z wodociągów, jest absolutnie czystą? Jedynie studnie artezyjskie są względnie pewne.

Często muchy są przyczyną rozszerzania epidemii, więc je należy tępić energicznie i bronić im przystępu do wszystkiego, czem się karmimy. Muchy chętnie obsiadają miejsca powalane, a doświadczenia wykazały, że w ciągu pierwszych trzech dni najwięcej laseczników znaleść można w kale, a od 5-go do 11-go co raz to trudniej, muchy zatem mogą długo przenosić zarazę z niezdezinfektowanych wypróżnień! Przez powietrze zarazek nie przenosi się wcale z człowieka na człowieka, bo w powietrzu lasecznik prędko ginie, nie mogąc się oprzeć wysuszeniu.

GRABARZE MIĘDZY OWADAMI.

Niejednemu już pewnie podpadło, że idąc lasem tak mało nieżywych zwierząt i zwierzątek spostrzegł, a przecie łatwo pojąć, iż dzień w dzień niezliczone liczby różnych żyjątek śmierć w jakibądź sposób ponoszą. Kto uprząta te trupy?

Wiemy, że mrówki obgryzają trupy małych zwierzątek i zanoszą szkielety ich do mrówisk. Wiadomo także, że i chrabąszcze ścierwowe tem się zajmują, zkąd nawet nazwę wzięły. Mało znaną jednak rzeczą jest, że głównymi grabarzami między owadami są chrabąszcze, zwane »grabarzami zmarłych« (po łacinie necrophorus).

W naszych stronach znachodzi się najczęściej gatunek tych chrabąszczy, zwany chrabąszczami pospolitymi (necrophorus vespillo). Są one 2½ centymetra długie, lśniąco czarne, z skrzydełkami, zaopatrzonemi w delikatne złotawe frędzle.

Gdy gdzie jaki nieżywy kret albo ptak, żaba albo mysz, albo też inne jakie zwierzątko leży, tam wnet się stawią owe chrabąszcze, które nadzwyczajny jakiś węch mają. Trzeba wtedy na nie patrzeć, jak swój zawód grabarski wykonują.

Najprzód obchodzą w około nieboszczyka, jakby miarę brały; potem badają miejsce, czy na grób stósowne, Jeżeli ziemia za twarda, natenczas posuwają nieżywego na inne miejsce i to w ten sposób. Kilka z chrabąszczów włazi pod trupa, a potem równocześnie posuwając się w jednym kierunku, posuwają też nieżywego. Gdy już dotarły do miejsca stósowńego, wtedy wychodzą z pod trupa i odszedłszy kawałeczek, zaczynają, każdy z osobna, robić dziury w ziemi, w kierunku, gdzie nieżywy leży. Ziemię wyrzucają nóżkami poza siebie. Owe dziury sięgają aż pod trupa, który zwolna zapada głębiej w ziemię, gdy ziemia pod nim poprzerzynana pustemi dziurami straciła na tęgości. To robią tak długo, aż trup całkiem w ziemię nie zapadnie. Jeżeli przy tej robocie jedni prędzej robotę skończą, a drudzy się opóźnią, to pierwsi spieszą drugim na pomoc.

Takie groby są zwykle tak głębokie, że nieżywe zwierzątko przynajmniej 2 lub 3 centymetry pod powierzchnią ziemi leży. Ziemię wykopaną zesuwają na trupa tak, że się nawet mogiłka utworzy.

Dawniejszy inspektor ogrodu botanicznego w Berlinie, niejaki Gladicz, chciał się o czynności tych chrabąszczy dokumentnie przekonać. W tym celu wsadził cztery chrabąszcze w szklanne

pudełko, które do połowy ziemią było wypełnione; na powierzchnią ziemi położył dwie nieżywe żaby. Nie trwało dłużej, jak 12 godzin, gdy jedna z żab już pochowaną została przez dwóch chrabąszczów; na trzeci dzień i drugą żabę w grób złożono. Potem położono im ptaszka zwanego konopnikiem. Para chrabąszczy zaraz się do niego zabrała i zaczęła go grzebać w zwykły sposób. Po pewnym czasie odpędził samiec samiczkę od roboty, (widać się za mało przy pracy zwijała) i w ciągu 5 godzin sam grób dla konopnika kopał. A jak on przy tem obrotnie postępował! To podnosił ptaszka, to go obracał, jakby go w grobie jak najwygodniej złożyć pragnął; potem wchodził pod niego i kopał; od czasu do czasu wychodził z pod niego, wchodził na trupa i drepcił po nim, jakby go w grób wciskał. Wreszcie zmęczył się ciężką pracą; wyszedł tedy z ziemi, położył się na skrzydłach ptaka i odpoczywał z godzinę, poczem znowu do roboty się wziął. Gdy na drugi dzień przyszli zobaczyć do pudełka, już ptaszek spoczywał w grobie, pięć centymetrów głębokim, ale jeszcze nie przykrytym. Cały dzień następny kopał chrabąszcz jeszcze głębiej grób, a nazajutrz wszystko było ukończone; ptaszek leżał 8 centymetrów pod ziemią, nakryty nią zupełnie.

Potem kładli owym czterem chrabąszczom jeszcze inne zwierzątka do pochowania. W przeciągu 15 dni pochowały one w ziemi, znajdującej się w pudełku 12 trupów zwierzątek i to cztery żaby, trzy małe ptaki, dwie rybki, kreta i dwa skoczki; oprócz tego wnętrzności ryby i dwa kawałki wątroby wołowej.

W innym przypadku pogrzebał jeden chrabąszcz kreta, króry przynajmniej czterdzieści razy był tak wielki, jak jego grabarz.

Uczeni, co się historyą naturalną zajmują, wiedzieli już o tych grabarzach bardzo dawno. Przed 100 laty pisali o nich Reomir i Holenderczyk Swammerdam. James Rennie opowiada w swej książce, że przyglądał się, jak dwóch chrabąszczów w ciągu kilku dni nieżywą wronę pogrzebały. Mimo to mało kto wie i dziś o tych grabarzach, choć każdy łatwo się może przekonać, gdy tylko oczy dobrze otworzy, a bystro w przyrodę się wpatrzy.

Pewien przyrodnik opowiada, co następuje: Gdy jeszcze do szkoły chodziłem, wspomniał nam raz nauczyciel o tych grabarzach. Rozciekawiło mnie to nie mało. Ubiłem tedy mysz i zaniosłem ją w pewno miejsce na pooraną codopiero ziemię. Ażeby zaś znaleść owo miejsce, utkwiłem przy myszy pręcik. Na drugi dzień, gdy przyszedłem na owo miejsce, już mysz do połowy w ziemi spoczywała. Chcąc własnemi oczami grabarza poznać, podniosłem mysz i przekonałem się, że chrabąszcz pod nią dziury w ziemi kopał. Potem położyłem mysz na dawne miejsce i nie przeszkadzałem grabarzowi w pracy. Na drugi dzień wieczorem była mysz już zagrzebana, a grobu jej trudno by było odszukać, gdyby ów przezemnie zatknięty pręcik miejsca nie wskazywał.

Ażeby się przekonać, czy chrabąszcze potrafią nieżywe zwierzątka przenosić z miejsca na miejsce, położyłem pewnego razu nieżywą żabę na kawałku papy. Umieściwszy ją na roli, odszedłem. Na drugi dzień rano jeszcze nic się nie zmieniło: żaba leżała na papie. Ale gdym jeszcze się temu przyglądał, nadleciał chrabąszcz. Najprzód obszedł żabę w około, potem zaczął chodzić po papie, dotykać jej się; widać badał, czy to jest stósowny grunt na grób. Gdy kawałek papy od brzegu do brzegu zbadał, spuścił się na ziemię i tu znowu grunt badał. Potem wrócił do żaby i dalej ją z papy spychać. Byłto ciężar nad jego siły, więc tak sobie pomagał; najprzód posuwał jeden koniec żaby ku krawędzi papy, potem drugi koniec, wchodził pod nią i posuwając się, posuwał też żabę, aż wreszcie żaba na ziemię spadła. Wtedy dopiero wziął się do grzebania.

Inny przyrodnik opowiada znów inne zajście. Wziął on pręcik i przywiązał na nim nieżywą żabę tak, że nóżkami dotykała ziemi. Po niedługiej chwili

nadleciał chrabąszcz-grabarz, obejrzał sobie niezwykłe położenie nieboszczyka i począł w koło niego i pod nim ziemię kopać. Spostrzegłszy jednak, że trup w ziemię się nie zapada, przerwał grabarz swoję robotę i odleciał, lecz wnet znowu wrócił, wiodąc ze sobą towarzysza. Wspólnemi siłami zaczęli obaj kopać ziemię pod żabą, ale wszystka ich praca była podaremna, bo im głębiej się w ziemię wkopywali, tem więcej się oddalali od nieboszczyka. Co tu począć? Zaczęli biegać w około, to w tę, to w owę stronę, potem zbliżyli się ku sobie i jakby się naradzali. Po naradzie rzucili się obaj do owego pręcika i kopali tak długo w około niego, aż się pochylił i upadł, a z nim razem i żaba, którą potem z łatwością pochowali.

Uczeni przyrodnicy badali, czy owe chrabąszcze mają z tego grzebania jaką korzyść dla siebie i przekonali się, że mają. Albowiem samiczki wkopują się w ziemię i składają swoje jajka tuż przy pochowanem żyjątku. Po 14 dniach wylęgają się z tych jajeczek larwy, które żywią się ścierwem zakopanym a po kilku tygodniach z larw zamieniają się w chrabąszcze i wychodzą z ziemi. Stare chrabąszcze tedy, zwane »grabarzami,« przygotowują, grzebiąc nieżywe zwierzątko, siedlisko dla swoich młodych i pokazują, że są troskliwymi rodzicami.

Jakto Bóg wszystko doskonale na świecie urządził. O żadnem żyjątku nie zapomina, o każdem i najmniejszem wie i o niem radzi. Gdyby tysiące tysięcy różnych żyjątek, które dzień w dzień życie tracą, leżały na powierzchni ziemi, psując się i gnijąc, tworzyłoby się zaduszne powietrze. P. Bóg temu zapobiegł, stworzywszy oto takich grabarzy, a płacąc im równocześnie za ich pracę przez to, że groby przez nich usypane, stają się siedzibą, w których dzieci tych grabarzy do życia się budzą.

Wielki jest Bóg w Swoich dziełach, więc chwalmy go za to zawsze i wszędzie!

OBRAZEK.*)

Na pagórku, tuż za wioską
Stoją lipy, klony,
Między niemi bluszczem spięty
Krzyżyk pochylony.

Pod nim babka w cieniu drzewa
Wspiera słabe czoło,
U jej stóp niemowlę czolga
W trawie się wesoło.

Przechodzący tam wędrownik
Wolniejącym krokiem,
Szepce, czułem na ten widok
Spozierając okiem:

Co jest radość, co jest smutek?
Jaki los człowieka?...
Stary nie wie już, co cierpiał,
Młody, co go czeka.

Dola różna — wartość równa,
Byle starca jęki
I śmiech dziecka zawsze trwały
W cieniu Bożej męki.

Czesław Lubiński.

*) Powyższy wierszyk wyjęty jest z drukującego się obecnie zbioru wierszy Czesława Lubińskiego, który wyjdzie — da Bóg — w 2 tomikach w końcu tego roku z druku.

PODRÓŻ BALONEM.

(Ciąg dalszy.)

Ale Józef nie zginął. Spostrzegł on bowiem, że szczyt najwyższy gór nie był spiczasty, lecz płaski i na jakie 30 stóp szeroki. Trzymając się rękami łódki balonowej, wyskoczył na owe płaskie miejsce i biegł za balonem, który ulżony z łatwością się wzniósł i nad szczytami przeleciał. Ledwie szczyt

przebył, wdrapał się Józef znowu do łodzi.

— Jak to dobrze — rzekł, — żem się dobrze turnować nauczył.

— Poczciwy Józefie! — zawołał ze łzami w oczach Fergusson, — uratowałeś nas wszystkich.

— I mój karabin — dodał Ryszard.

— Ej, nie warto o tem mówić — odparł Józef, — znowu się trochę rozruszałem. Zresztą wywdzięczyłem się panu Ryszardowi tylko za to, że wówczas, gdy mnie Arabi gonili, najbliższego z nich kulką z konia zwalił. Byłem

Józef wyrzucił kotwicę, która po pewnym czasie zahaczyła się o drzewo. Balon stanął tedy nad wierzchołkami wysokich drzew lasów, ciągnących się w szerz i w dłuż, jak tylko okiem sięgnąć było można. Ze zmrokiem ustał wiatr i nastał miły dla podróżników spokój.

XI.

Gdy stanęli, zbadał Fergusson najprzód podług kart i podług gwiazd, gdzie się znajdują; obliczył, że nie całe 25 mil dzieliło ich od rzeki Senegalu, która była celem ich podróży.



Weselnicy Górnoszląscy (z Rozbarku pod Bytomiem).

(Obacz objaśnienia rycin na str. 320).

w długu względem pana Ryszarda, a ja lubię moje długi płacić. Teraz kwita!

Gdy minęli góry, mógł balon spadać ku ziemi, nie sprawiając przez to żadnego kłopotu podróżnikom. Opadł też aż na 200 stóp od ziemi. Wieczór tymczasem się zbliżył i Fergusson postanowił wstrzymać balon i przepędzić noc w spokoju.

— Wyszukajmy jakiego dobrego miejsca na nocleg.

— Widzę wielkie lasy niedaleko — rzekł Józef. — Możebyśmy tam kotwicę o drzewo zaczepić mogli.

— Dobrze.

— Słuchajcie, przyjaciele, — odezwał się do towarzyszów. — Do celu naszego już nie zbyt daleko, lecz koniecznie potrzebujemy balonu, ażeby go osięgnąć, gdyż będziemy musieli przejść rzekę bardzo szeroką, a mostów ani łodzi nie ma. Jeżeli jednak tam balon ma nam tak długo służyć, natenczas powinniśmy go lżejszym uczynić.

Ryszard w obawie o swój karabin, wzdrygnął ramionami i rzekł:

— Nie wiem, w jaki sposób to uczynić możemy.

— Ja wiem, — bąknął Józef, — jestem gotów po raz trzeci z balonu wyskoczyć.

— Tego niepotrzeba, — odparł Fergusson, — bo ja znalazłem inny sposób. Oto wyrzucimy z balonu cały aparat gazowy i wszystkie inne sprzęty, które do niego były potrzebne. Ważą one razem z jakie 900 funtów.

— Ależ przyjacielu, — zawołał Ryszard — jakże się obędziemy bez gazu?

— W ten sam sposób, w jaki się obywają wszyscy inni podróżnicy w balonach. Obliczyłem bardzo dokładnie siłę naszego balonu i wiem, że bez zasilenia go gazem doniesie nas i najpotrzebniejsze nasze rzeczy na miejsce przeznaczenia, albowiem my trzej i rzeczy i kotwice, które zatrzymamy, nie ważą więcej, jak 500 funtów.

— Mój kochany Samuelu, — tak odrzekł pan Ryszard, — ty jesteś w tych sprawach najdoświadczeńszy z nas wszystkich, więc gdyś wszystko obliczył i postanowił, że tak ma być, to niech będzie.

— Czekam rozkazów, co wyrzucać — dodał Józef.

Nie było łatwo, mocno zbudowany i do łodzi przytwierdzany aparat, rozebrać i kilka godzin upłynęło, zanim wszystko to z balonu usunąć zdołali, co pan Fergusson nakazał, ale wreszcie ukończono pracę. Balon wzniósł się zaraz wyżej, a lina, którą przez kotwicę do drzewa był przytwierdzony, wyprężyła się mocno.

Po pracy posilili się wszyscy trzej suchym chlebem i zimnym grokiem, a potem rzekł Fergusson:

— Teraz połóżcie się, bo już północ. Do drugiej godziny będę czuwał, potem zbudzę ciebie, Ryszardzie, a po dwóch godzinach możemy obudzić Józefa, aby czuwał. Około 6 godziny rano chciałbym odjechać.

Pan Ryszard i Józef wyciągnęli się na podłodze łódki i wnet usnęli. Fergusson zaś stanął przy krawędzi łódki i zapatrzył się w dal. Księżyc, będący właśnie w ostatniej kwadrze, rzucał mdłe światło na ziemię.

Fergusson niby patrzał, ale w istocie nie widział nic, bo był zajęty myślami, co się z nimi dalej stanie. Coś mu szeptało, że jeszcze ich wielkie niebezpieczeństwa czekają. Zanim jeszcze aparat gazowy z balonu wyrzucili, mogli mieć zaufanie, że balonem jako tako pokierować będą mogli; teraz i to ustało a balon oddany został na łaskę wiatru.

Wtem zdawało się Fergussonowi, że słyszy jakieś trzeszczenie w lesie. Nadstawił ucha, lecz napróżno. Cały las był spokojny.

O 2 godzinie obudził Ryszarda a sam położył się spać.

Pan Ryszard, chcąc sen z powiek odegnać, zapalił fajkę i kurzył. Myślał, że w ten sposób nie zaśnie. Ale znużenie przemogło; po godzinie może zdrzymnął się na dobre.

Jak długo spał, nie wiedział. Nagle obudziło go jakieś trzeszczenie. Otworzył oczy i zobaczył, ze cały las stał w płomieniach.

— Gore! gore! — krzyknął.

Obaj towarzysze zaraz się przebudzili i powstali. W tej samej chwili ozwały się przeraźliwe okrzyki z dołu.

— To dzicy! — krzyknął Józef. — Zapalili las, aby nas razem z nim spalić.

Był straszny widok. Istne morze płomieni kołysało się pod balonem; płomienie sięgały wysoko, że się podróżnym zdawało, jakoby się wśród ognistej kuli znajdowali.

— Uciekajmy! — zawołał Ryszard. — Spuśćmy się na ziemię! To jedyny ratunek!

— To pewna śmierć, — odrzekł Fergusson i wstrzymał Ryszarda. Potem jednem cięciem przerznął linę kotwicową, a balon lekki skoczył od razu 1000 stóp nad ziemię. Wielki wrzask a nawet strzały karabinowe odezwały się w tej samej chwili z ziemi; to dzicy strzelali.

Józef wychylił się z łódki i zawołał:

— Szanowni panowie ludojady! Musicie rychlej wstać, jeżeli chcecie złapać pana Fergussona, p. Ryszarda i mnie.

— Dobrze uczyniliśmy, — rzekł Fergusson, — gdyśmy wczoraj balonowi ulżyli. Gdyby nie to, bylibyśmy zgubieni.

— Z tego wynika, — powiedział Józef, — że ten zawsze dobrze wyjdzie, kto za wczasu swoje sprawy uporządkuje.

— Nie myślcie sobie jednak — ostrzegł zaraz Fergusson, — że niebezpieczeństwo już minęło. Nie mamy już tyle władzy nad balonem, co dawniej.

Fergusson nie mylił się, gdy mówił, że niebezpieczeństwo nie minęło, bo zaledwie balon poza las płonący wyjechał, spostrzegli podróżnicy gromadę jeźdzców, uzbrojonych w lance i karabiny, którzy pędzili, co konie wyskoczyć mogły, za balonem.

— To są najdziksi ludzie w Afryce, — rzekł Fergusson, — nazywają się talibasy albo marabutowie. Wolałbym się znajdować w lesie wśród dzikich zwierząt, aniżeli w pobliżu nich.

— Wyglądają po temu, — rzekł pan Ryszard.

— Dobrze, że nie mają skrzydeł i nie mogą latać, — odpowiedział Józef.

— Obyśmy tylko zdołali minąć rzekę — odezwał się Ryszard, — wtedy jesteśmy w bezpieczeństwie.

— To prawda, — przywtórzył Fergusson, — lecz aby się to stało, potrzeba nie dopuścić, iżby balon spadał, a mnie się zdaje, że ma ku temu ochotę.

— Jak wysoko nad ziemią się teraz znajdujemy? — zapytał Ryszard.

— Z jakie siedmset pięćdziesiąt stóp — odrzekł Fergusson.

Dzicy pędzili bez wytchnienia za balonem, ale pozostawali zawsze jeszcze w takiej odległości, że kula karabinowa nie mogła balonu dosięgnąć, czego się Fergusson szczególnie obawiał.

Południe minęło. Fergusson ciągle patrzał bacznie i ze smutkiem zauważył, że balon się zniża. Podług obrachunku Fergussona uleciał balon już z jakie 15 mil, więc do rzeki Senegalu mogło jeszcze być około 10 mil (angielskich).

Wtem podróżnicy okrzyk dzikich usłyszeli.

— Co się stało?

— Balon spada gwałtownie, — odrzekł Fergusson.

— Ta sprawa przestaje być przyjemną i naturalną, — bąknął Józef.

Po ćwierćgodzinie znajdował się balon już 150 stóp od ziemi. Dzicy strzelili ku niemu, ale nie trafili.

— Ci rozbójnicy nawet strzelać nie umieją, — zgorszył się Józef; — trzeba im pokazać, jak się strzela.

To mówiąc palnął z karabina i położył trupem najbliższego z jeźdzców. Zrobiło się zamięszanie między jeźdzcami; stanęli, a balon pędził, bo wiatr wiał ciągle dobry.

— Jeszcześmy nie wygrali, — rzekł Fergusson, — a balon spada. Musimy wyrzucić, co można.

— Ale co? — spytał Ryszard.

— Wyrzućcie wszystkie zapasy żywności! — nakazał Fergusson.

Balon się znowu podniósł, ale po chwili znów zaczął opadać. Dzicy tymczasem opamiętawszy się, pędzili, wrzeszcząc przeraźliwie. Gdy się znów na dalekość strzału przybliżyli, strzelił pan Ryszard i Józef, każdy po dwa razy i czterech jeźdzców zwaliło się z koni.

Ale cóż z tego, kiedy balon spadał i łódka jego już prawie o ziemię się tarła.

— Trzeba jeszcze balonowi ulżyć, — zawołał Fergusson. — Przecie jeszcze 150 funtów możemy wyrzucić.

Ryszard spojrzał na przyjaciela, ponieważ sądził, że temuż w głowie się pomięszało, bo przecie już niczego w balonie do wyrzucenia nie było.

— Cóż wyrzucić? — spytał.

— Całą łódkę balonową odetniemy, — odpowiedział Fergusson, — a wszyscy trzej zawiesimy się na linach, które balon z łódką łączą.

Nie mówili nic więcej, tylko uczynili wedle rozkazu Fergussona. Gdy balon z powodu tego ulżenia podleciał w górę, krzyknął Józef:

— Wiwat!

W tej chwili też natrafili na dość znaczne wzgórze skaliste a długie. Balon z łatwością je przebył; goniący dzicy zaś musieli je objechać dokoła. Przez to zyskali podróżni nieco czasu.

Gdy minęli wzgórze, krzyknął Fergusson:

— Patrzcie! Tam Senegal, Senegal.

Istotnie! W oddaleniu dwóch mil angielskich płynęła ta ogromna a wspaniała rzeka.

— Jeszcze ćwierć godziny dobrej jazdy, a jesteśmy uratowani!

Ale niestety inaczej się stało. Balon jakby się zmęczył, począł gwałtownie słabnąć, wydłużać się i opadać. Leciał nisko nad ziemią dość skalistą, na której gdzieniegdzie doliny leżały, a na nich kupki trawy, przez żar słoneczny na siano spiekłej. Wtem pokazało się i jedno wielkie drzewo i balon tak leciał, że zahaczył się o jego gałęzie i stanął, nisko przy ziemi.

— Skończyło się wszystko! — rzekł pan Ryszard, spuszczając się na ziemię.

— Sto stóp od rzeki musimy ginąć, — dodał żałośnie Józef.

Wtem Fergusson zawołał głośno:

— Przyjaciele! Jeszcze jest sposób! Jeszcześmy nie zginęli! (Dokończenie nastąpi).

OBJAŚNIENIA RYCIN.

Starosta weselny; zbiór przemówień, piosnek i wierszy do użytku starostów, drużbów i gości przy godach weselnych. — Pan Józef Gallus z Bytomia wydał nakładem drukarni »Katolika« z Bytomia bardzo piękną książkę pod powyższym tytułem. W przedmowie pisze tak: »Starodawne nasze zwyczaje, staroświeckie pieśni nasze swojskie, które nasi praojcowie i ojcowie po wesołach wyśpiewywali, zasługują na to, aby się między nami nadal zachowywały, raz dla tego, że ładne, a powtóre, że nasze, naszych przodków spuścizna.« Słuszne te słowa szanownego wydawcy wyjaśniają cel książeczki. Zawiera ona: przemowy drużbów przy zaproszeniach na wesele, przemowy starostów i starszych drużbów przed ślubem, ucieszne przemówienie organisty przy odejściu Państwa Młodych do ślubu, piosnki przy wyjeździe do kościoła i po powrocie od ślubu; powinszowania Młodemu Państwu, dziękowanie rodzicom, liczne przemowy podczas obiadu, toasty, piosnki, stósowne do śpiewania podczas uczty weselnej, podczas roznoszenia potraw na stoły, przy końcu obiadu, opis czepin, pieśni podczas i wśrod czepin, po czepinach, śpiewki podczas tańca przy wesołach, piosnki podczas pauzy w tańcu, wiersze stósowne do wypowiedzenia na pamięć podczas wesela, przemowy przy końcu wesela. Książeczka zawiera 246 stron i kosztuje 75 fen., z przesyłką 85 fen., oprawna 1 m., z przesyłką 1,10 m.

Zapisać ją sobie można z Wydawnictwa »Katolika« w Bytomiu G.-Szl.

Wydawca uprasza też wszystkich, którzy sobie książkę kupią, aby nadesłali mu piosnki i opisy weselnych zwyczai, jeżeli znają jeszcze inne, aniżeli są te, które się w książce mieszczą. Przy drugiem wydaniu umieści je wydawca w książce swojej, albo nową książeczkę wyda. Książeczka nie zawiera w sobie niczego, coby mogło razić pod jakimbądź względem. Piosnek niestósownych nie umieszczono.

Polecając »Starostę« wszystkim, przytaczamy z niego następującą piosnkę:

Hej gościna do żywego,
Stawcie na stół flasze,
Do was kumie, wy do niego,
Co łykniem, to nasze.

Lejcie, lejcie na urodę,
Bo już w czubie smerze,
Dług zapłacę, za wygodę
Podziękuję szczerze.

Oj zapłacę, podziękuję,
Za resztę dla dziewek
Wstęg, pierścieni nakupuję,
Bez długu dosiewek.

Krzyczy Janek już rozgrzany,
Niby płonka w sadzie,
A poprawia pas skórzany,
Rękę za pas kładzie.

Pokrzykuje, potupuje,
Karczma mu za ciasna,
Bo też Janek co jest czuje,
Suknia na nim jasna.

Z pawiem piórem czapka [siwa,
Od stu katów z ucha,
A na szyi wstęga wiewa,
Co mu dała druchna.

A dziewczęta się chichocą,
Do kątów się cisną.
Lecz się znajdą, rozochocą,
Ino skrzypki pisną.

Janek krzyknął, zagiął poły,
I hula babula,
Trzeszczą ławy, skrzypią stoły,
Dziewczę się przytula.

Młynkiem warczy smagła [para,
Zamiata podłogę,
Hej dworacy! hejże wara!
Bo czas, komu w drogę.

Niby zły duch przez bielawy,
Przodkiem Janek śmiga,
Ćmi się w oczach, kręcą ławy,
Okno w tęczę miga.

Na okrętkę i od siebie,
Aż wiatr w izbie wieje,
Jemu miło, gdyby w niebie,
Dusza mu się śmieje.

Serce mięknie, gdyby masło,
Patrzy nie wesoło,
Ścisnął dziewczę, aż zawrzasło,
I znów śmiga w koło.

Przyprowadził i znów hula,
Za nim wielcy, mali,
Jak za matką pszczoły z ula,
Szorują a dalej.

Janek chłop, jak sosna w lesie,
Krzepki, zwinny, zdrowy,
Nieraz sam na wiatrak niesie,
Miech cztero-korcowy.

Szkoble kręci, gdyby nici,
Podkowę przełamie,
Chłopa jedną ręką chwyci,
I świstnie przez ramię.

A gdy w karczmie stanie w [progu,
Zawinie kłonica,
To się poleć Panu Bogu,
Lub zostaw babica.

A dziś cichy jak baranek,
Spogląda nieśmiało,
Póty nosił wodę dzbanek,
Aż się ucho urwało.

Oj natrafił swój na swego,
Będzie ślub na gody,
Już z nich jedno bez drugiego,
Jak ryba bez wody.

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu G.-Szl.
Redaktor: Adam Napieralski w Bytomiu.

Praktyczne rady.

— **Pieczeń huzarska.** Kilka funtów mięsa dobrego zbić mocno, osolić i upiec na różnie lub w piecu, polewając ciągle masłem; gdy się już zarumieni i jest prawie miękkie, ponakrawać ukośnie i przełożyć w każdem nakrojeniu następnym farszem: utrzeć parę pieczonych cebul na masę, wziąść dużą łyżkę masła, trochę pieprzu, bułki tartej lub chleba tak, aby masa była gęsta, wymięszać to doskonale i przekładać pieczeń. Włożyć ją do rondla, zalać sosem, jaki się uformował w czasie pieczenia, przykryć i dusić na węglach lub w piecu przez pół godziny.

— **Sposób uchronienia flaszek i naczyń szklannych, od pękania z gorąca.** Obwija się naczynia słomą lub sianem, wkłada do naczynia napełnionego wodą, przystawia do ognia i zagotowuje. Następnie odstawia się naczynie od ognia, powoli ostudza i wyjmuje wygotowane przedmioty, które odtąd opierać się będą działaniu gorąca, jeżeli tylko takowe nie będzie zbyt silne. W taki sam sposób postępuje się z cylindrami lamp chcąc je zabezpieczyć od pękania.

— **Sposób pewny ugaszenia palącej się sadzy w kominie.** Mięsza się 56 dkgr. siarki grubo utłuczonej z $17^1/_2$ gram. prochu zwyczajnego i przechowuje aż do użycia, w dobrze zakorkowanej butelce. W razie wypadku nasypuje się tego proszku na ognisko, lub do komina, zapala i usuwa się, aby nie być wystawionym na działanie duszących gazów siarki. Jak tylko gaz siarkowy zacznie wznosić się w górę, pożar natychmiast zostanie ugaszony i ustanie wszelkie niebezpieczeństwo, powstający bowiem przez spalenie siarki gaz kwasu siarkowego, należy do tych gazów, które ani oddychania, ani palenia nie podtrzymują.

— **Czernidło angielskie do obówia.** Gotuje się przy wolnym ogniu mydła dobrego $3^1/_2$ dkgr. w $10^1/_2$ dkgr. wody deszczowej: w takiej samej ilości wody deszczowej rozpuszcza się osobno kleju stolarskiego $17^1/_2$ gram. i gummy arabskiej 7 dkgr. poczem zlewa się razem w jedno naczynie obydwa płyny i dodaje do nich $17^1/_2$ gram. sadzy angielskiej wyprażonej, a ostatecznie gotuje tak długo, dopóki próbka na zimnie nie stężeje, a wzięta w palce nie przylega do tychże i nie smoli.

— **Sposób łapania kretów.** Głęboki i wewnątrz polewany garnek wkopuje się w ziemię tak, aby brzeg jego był z nią na równi, wrzuca złapanego żywego kreta i karmi go glistami. Przez to przywabia się inne krety, które przy swej ślepocie wpadają łatwo do garnka; złapane wyjmuje się, pozostawiając jednego tylko dla wabienia innych.

Ogród owocowy.

Ogród owocowy, a chociażby nawet część ogrodu warzywnego, obsadzona drzewami owocowemi, sprawia na wsi taką samą przyjemność jak i ogród ozdobny, obok wielkiego pożytku. Chociaż w takim ogrodzie nie znajdzie się miejsca na zasadzenie kilku lub kilkunastu drzewek; a gdyby nawet starczyło miejsca na jedno tylko drzewo, właściciel ogrodu nie powinien zaniedbywać zużytkowania go w ten sposób.

Zbytecznem byłoby rozszerzać się tutaj nad ważnością hodowli owoców w ogólności, gdyż rozpowszechnienie gruntowych wiadomości o tym przedmiocie wzięły na siebie stowarzyszenia rolnicze i ogrodnicze. Że pomimo to jednak hodowla owoców w wielu okolicach nie stanęła na stopniu takiego udoskonalenia jakiegoby życzyć należało, przypisać to należy w części małej znajomości przedmiotu, w części zaś opieszałości i brakowi zaufania wśród wieśniaków do rzeczy nowej, której pożytku jeszcze dotykalnie nie upatrują. I w tym razie dobry przykład działa daleko skuteczniej, niż długie nauki, lub pisma i książki o hodowaniu owoców. Nauczycielom szkółek ludowych przypada w udziale piękne i zaszczytne zadanie wpływania w tym kierunku na młodociane umysły już w szkole, przez wykazanie dzieciom wielorakich pożytków z hodowania owoców. W miarę wzrastania pojęć o wysokich pożytkach z hodowania owoców, zmniejszą się też i szkody w sadach zrządzane, gdyż jest to smutną prawdą, że takie wykroczenia przeciwko prawu własności tam się najczęściej zdarzają gdzie hodowanie owoców stoi jeszcze na niskim stopniu. Zakres sadownictwa jest bardzo obszerny i nie może być celem naszym dać wyczerpujący opis wszystkich jego gałęzi. Niech zatem wystarczy kilka głównych zarysów w celu zachęty do zajęcia się tak pożyteczną częścią ogrodnictwa.

Wszelkie drzewa i krzewy owocowe uprawiane w naszych ogrodach dają się podzielić na następujące działy: owoce ziarnowe, pestkowe, łupinowe i jagodowe.

Do owoców ziarnowych zaliczamy: jabłka, gruszki, pigwy, należące do botanicznej rodziny pomaceae.

Owocami pestkowemi są wiśnie, czereśnie, morele, brzoskwinie i migdały, stanowiące rodzinę amygdaleae.

Owocami łupinowemi są orzechy włoskie, laskowe i kasztany słodkie czyli jadalne, zaliczane do rodziny juglandeae i cupulifarae.

Owocami jagodowemi są: winogrona, agrest, porzeczki, maliny, jeżyny, morwy, figi, truskawki i poziomki. Należą one do rozmaitych botanicznych rodzin.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Rozmaitości.

* **Najsłońsza woda,** wyjąwszy sadzawek w kopalniach soli,

znajduje się w jeziorze Urumia w Persyi, wyniesionem na cztery tysiące stóp nad poziom morza. Jest ono wiele słońsze od Morza Martwego, zawiera bowiem 22% soli, kiedy to ostatnie ma jej tylko 8,5. Jezioro Urumia jest długie na 84 mil ang., szerokie zaś na 24; brzegi jego pokryte są błyszczącą warstwą soli. Żadne stworzenie nie może w niem wyżyć, wyjąwszy jednego gatunku małych rybek galaretowatych. Po jeziorze Urumia i Morzu Martwem, najsłońszą wodę ma wielkie jezioro słone Utah w Stanach Zjednoczonych.

* **Królowe francuzkie** po śmierci męża nosiły białe szaty na znak żałoby, dlatego wdowy królewskie nazywano białemi królowemi. Pierwsza Anna z Bretanii przywdziała czarne suknie po śmierci swego pierwszego męża, Karola VIII, którego szczerze kochała, i odtąd zwyczaj ten pozostał na dworze. Po śmierci króla, następca jego przywdziewał czarny szaty tylko podczas pogrzebu, a potem ubierał się w purpurę i fiolet.

* **Dr. Vacher obliczył,** że Francya potrzebuje rocznie chininy za 8 milionów franków, w całej zaś Europie wychodzi jej za 25 mil. franków. Jest to ogromny podatek a suma od której stanowi procent, wystarczyłaby do osuszenia wszystkich bagien w Europie.

* **Trzcina bambusowa** należy do najpożyteczniejszych roślin i wespół z palmą zaspakaja mieszkańcom stref podzwrotnikowych prawie wszystkie ich potrzeby. Zwykła jej wysokość wynosi od 3 do 4 metrów; ale na bagnistym gruncie, przy ujściu rzek, dochodzi niekiedy do 30 metrów. Wysmukły jej pień, na którym kołyszą się wspaniałe liście i olbrzymie kwiaty, nader wdzięczne sprawia wrażenie. Splątane bambusy tworzą nieprzebytą gęstwinę, wśród której ogniem i siekierą trzeba torować sobie drogę. Rosną niesłychanie szybko; w przeciągu miesiąca mogą dojść do wysokości 22 metrów. Z młodych odrośli mieszkańcy tamtejsi przyrządzają smaczną jarzynę; nasienie podobne do owsa dostarcza chleba; z lekkiego i giętkiego drzewa wznoszą domy; grube pnie służą do budowy tam, mostów, z cienkich wyrabiają sprzęty; wykrajana drzazga stanowi ostry nóż; z włókien plotą kosze, sieci, firanki, kapelusze a nawet kaftany, okrawkami wyściełają sprzęty. Nadto z trzciny bambusowej robią jeszcze palisady, włócznie, laski i narzędzia muzyczne. Liście służą do pokrycia dachu.

* **Znany jest każdemu** przyjemny zapach, jaki wydaje rola świeżo zorana; siła jego jest tem większą, im grunt jest wilgotniejszy. Dotąd nikt nie wiedział, zkąd on pochodzi, teraz dopiero uczony chemik francuzki, Berthelot, w sprawozdaniach akademii francuzkiej ogłosił rozprawę, w której przekonywa, że szczególna, przenikliwa woń, jaką wydaje rola świeżo zorana, pochodzi z nieznanego dotąd pierwiastku lotnego, należącego do tej kategoryi co kamfora. Własności jego niepodobna oznaczyć dokładnie, gdyż dotąd niema sposobu zebrać go w dostatecznej ilości, ażeby poddać analizie, pewną tylko jest rzeczą, że trylionowa część miligrama daje się już poczuć.

* **Na każdą uncyą miodu** pszczoła potrzebuje wyssać 218750 kwiatów; z tego możemy mieć wyobrażenie o niesłychanej pracowitości tych owadów. Największy ul na świecie znajduje się w Kentucky, w Ameryce północnej i zowie się »ulem mamuta.« Jest to jaskinia wysoka na 150 stóp i mająca 10 akrów (około 20 morgów) rozległości; całe jej sklepienie jest założone plastrami miodu. Największą pasiekę na świecie posiada p. Harbison, w Kalifornii; składa się ona z 6000 uli i wydaje rocznie 200,000 funtów miodu. Roczna produkcya miodu w Grecyi wynosi 3 miliony funtów z 30,000 uli; w Danii 2 miliony f. z 90,000 uli; w Rosyi tyleż ze 110,000 uli; w Belgii 5 milionów funtów z 200,000 uli; w Holandyi 6 mil. funt. z 240,000 uli; we Francyi 23 mil. funt. z 950,000 uli; w Niemczech i Austryi 40 mil. funt. z 1,500,000 uli; w Stanach Zjednoczonych roczna produkcya miodu wynosi 62 miliony funtów z 2,800,000 uli.

* **Czy ryby mają głos?** »Niemy jak ryba« mówi się o ludziach milczących, tymczasem tego porównania nie można w ogólności do ryb stósować, gdyż istnieje znaczna liczba gatunków, które posiadają własność wydawania głosu. Do nich należy przedewszystkiem morski skorpion (Cottus), którego znamy dwadzieścia sześć gatunków, przemieszkujących w morzach i wodach słodkich północnej półkuli. Przy wyjmowaniu z wody wydają one głuchy pomruk i dlatego rybacy nazywają je mrukami. U ryb Trigla, należących do tego samego rodzaju, mruczenie jest jeszcze silniejsze. Dufosse zauważył, że mogą one wydawać rozmaite tony, z których jedne są piskliwe, inne zaś podobne do mruczenia kota. Słychać je zarówno w wodzie, jak przy wyjmowaniu z niej. Gatunek ryb zaliczony do rodzaju Dactyloperus także posiada głos podobny do skrzypienia. W oceanie Atlantyckim i Indyjskim żyje sto dziesięć gatunków ryb należących do rodziny Scienidae, które mają własność wydawania głosu; fakt ten stwierdzają opisy wielu podróżnych. Amerykański marynarz John White porównywa ich głos do brzmień basowych organu, lub rzechotania wielkiej żaby. Inny gatunek, Pogonias chromis, wydaje dźwięk podobny do trąbienia; w nocy słyszy go się nieraz godzinami. Głos ryby należącej do gatunku Sciaena aquila przypomina tony oboju lub altówki, niekiedy zaś brzęczenia pszczół. Głos Umbrina cirrohosa jest słabszy i więcej głuchy. Arystoteles już wiedział, że ryby te mają własność wydawania głosu. W opisach podróży po południowej Ameryce, nieraz napotyka się wzmianki o rybach podobnych. Zdaje się, że one porozumiewają się z sobą tym sposobem, gdyż odzywają się najczęściej wtedy, jeżeli zbierze się ich razem większa liczba. Ryby więc nie należą do stwo

rzeń niemych, za jakie uważano je dotąd.

* **Wytępienie ptastwa** srodze mści się na rolnikach algierskich. Algier jest to kraj w Afryce. Jedno z pism francuskich udowadnia, że przyczyną wielkiego pomnożenia się tamże szarańczy, która co rok ogromne wyrządzała szkody w zbiorach w Algierze, jest chciwość angielskich i francuskich handlarzy ptastwa. Handlarze ci łapią, biją i sprzedawają w setkach tysięcy strusie, kuropatwy, przepiórki itp. Od tego też czasu poczęły się owady mnożyć w zastraszający sposób, bo nie ma ich kto niszczyć. Przekonano się zaś, że jedna przepiórka zjada dziennie do 1200 sztuk młodych szarańcz, a do 25 tysięcy sztuk, kiedy szarańcze są jeszcze tak małe, że je jeszcze połknąć można. Struś zaś zjada do 40 tysięcy sztuk szarańczy. Gdyby więc w Algierze nie wyniszczono ptastwa, nie ucierpiałby ten kraj tyle od szarańczy. Niechaj to będzie także i dla naszych czytelników przestrogą, aby ani sami nie tępili ptastwa ani nie pozwalali na to innym. Ptaki bowiem oczyszczają nasze pola i drzewa z gąsienic i innego robactwa.

* **Użyteczny wynalazek.** Ministeryum marynarki w Paryżu zajmuje się obecnie na seryo badaniem wynalazku barona Aleksandra, który sądzi, że wzburzone dokoła okrętu fale morskie można uspokoić przez pokrycie ich siecią pływającą o okach bardzo gęstych. Sieć taka ma wywierać działanie podobne, jak olej. Na pomysł ten wpadł wynalazca przez dostrzeżenie, że wodorosty, które obficie pokrywają pewne okolice Oceanu, uspokajają rozhukane fale morskie. Sieć p. Aleksandra naśladuje wiernie powierzchnie wodorostów. Byłby to jeden z najpożądańszych wynalazków.

* **Drzewa owocowe,** sadzone w wielkiej ilości przy drogach Europy zachodniej, przynoszą znaczne zyski okolicznym mieszkańcom. Tak np. według wydanej świeżo statystyki w Hanowerze, w r. 1890 drzewa przydrożne ze sprzedaży owoców przyniosły 270,000 w Hildesheimie 67,000, w Retlingen 33,300 mk. dochodu. W Manheimie pierwsze drzewa przydrożne posadzono w r. 1858. W r. 1868 dały one już 9,500 mk., w r. 1878 22,000 mk., a w r. zaś 1888 36,000 mk. dochodu.

* **Ile lin telegraficznych podmorskich** łączy Europę z innemi częściami świata? Dwadzieścia pięć lat mija właśnie, kiedy po niesłychanych trudach i wielu nieudanych próbach, zdołano nakoniec z wielkim kosztem zapuścić pierwszą linę telegraficzną podmorską, między Europą i Ameryką. Początek jej był w Walencyi, małej wysepce irlandzkiej, stanowiącej najwięcej zachodni punkt Europy, koniec na Nowej Ziemi. Lina składała się z miedzianego drutu, obwiniętego sześcioma drutami; mięszanina złożona z gutaperki, żywicy i smoly norwezkiej, zabezpiecza druty od działania wody; na to idzie jeszcze powłoka z drutów żelaznych obwiniętych konopiami, która chroni linę od uszkodzeń w skutek tarcia o skały podwodne, zahaczenia kotwic, uderzeń gór lodowych i napaści potworów morskich. Dla pomieszczenia i zapuszczenia tej liny musiano zbudować osobny okręt, wielkich rozmiarów, Great Eastern, w potężne zaopatrzony maszyny. Pierwsze próby założenia telegrafu podmorskiego czynił profesor Whealstove w roku 1840, między Dovre i Calais, ale nie zostały one uwieńczone pomyślnym rezultatem; trzeba było dwudziestu sześciu lat pracy i trudu, nie licząc już wydanych na to milionów, ażeby tak olbrzymie przedsięwzięcie doprowadzić do skutku. Pierwsze liny, jakie zapuszczono, były wszędzie jednakowej grubości, dziś przekonano się, że to jest zupełnie zbyteczne. Na pełnem morzu, w odległości od lądu stałego, lina może być cieńszą, gdyż tam nie grozi jej ani zahaczenie o kotwice okrętowe, ani napór bałwanów. Wiadomo, że podczas najsilniejszych burz, w głębokości 25 do 30 metrów, panuje najzupełniejszy spokój. Zato w pobliżu lądu liny muszą być doskonale opancerzone, ażeby nic nie zdołało ich przerwać lub uszkodzić. Europę z Ameryką łączy obecnie dwanaście lin podmorskich, a połowa z nich wychodzi z Walencyi. Długość wszystkich lin podmorskich na świecie wynosi 172,270 kilometrów, ważą one razem 200,000,000 kilogramów. Skoro zostanie zapuszczona lina podmorska pomiędzy Kolumbią angielską i Japonią, cała kula ziemska będzie otoczona siecią drutów telegraficznych. Osobna flotylla, złożona z 38 parowców, specyalnie w tym celu zbudowanych, służy do zapuszczania nowych lin i czuwa nad ich bezpieczeństwem.

ŻARTY.

— Nigdy już pić nie będę!
— Dla czego?
— Wyobraź sobie, wczoraj będąc nietrzeźwym poszedłem do moich wierzycieli i popłaciłem wszystkie długi.

Mąż: Moja droga, niema miesiąca, jak zapłaciłem 50 m. w magazynie, a teraz znów przynoszą rachunek na 40 m.

Żona: To najlepszy dowód, że zaczynam być oszczędną.

Za silna pokusa.

Sędzia: Jakto się stało, że ci przyszła myśl okradzenia pana X.?

Złodziej: Proszę pana sędziego, była noc, okno na dole otwarte, ulica pusta, żadnego policyanta w pobliżu; no, sam pan sędzia nie byłby się oparł pokusie.

Przy pewnym miłośniku prawdy opowiadano o człowieku, który wybornie głosy zwierzęce naśladował.

— Eh! to fraszka! — rzecze na to miłośnik — ja znałem człowieka, który tak naśladował koguta, że jak zaczął piać, słońce zaraz wschodziło.

Kuracya żydowska.

Sura: Boże mój, Boże! ten nasz Nuchimek musi być chory! Patrz-no, Abram, jaki on smutny!

Abram (dobywszy z kieszeni dziesięciomarkówkę, pokazuje ją Nuchimkowi): Patrz-no Sura, Nuchimek już zdrów, już się śmieje!

Lokator (wpadając z krzykiem): Cóż to za mieszkanie pan mi wynająłeś! W piwnicy pełno wody.

Gospodarz: A paneś spodziewał się tam wina?

Oszczędna żona.

— Nie zapomnij, mężu, zaprosić na nasz wystawny obiad pana Wandalina; jest on taki brzydki, że sam jego widok odbierze gościom apetyt.

— Co było Ambrożemu?

— Nie wiem, był to zawsze człowiek tajemniczy; nie wiadomo z czego żył, nie wiadomo też, na co umarł.

Treść zeszytu 20 „Światła“:

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu G.-Sz.